

Moskale szerzą kulturę w powiecie ostrowskim, a bolszewicy w Sterdyni,
płoną domy w Ostrowi i okolicy, skok na bank w Węgrowie

Wstępem, przypisami i ilustracjami opatrzył Jerzy Madzelan.

Ilustracja wyróżniająca opracowanie:

Władimir Siergiejewicz Żinkin, żołnierz stacjonującego w Komorowie 23. Niżowskiego Pułku
Piechoty Feldmarszałka Grafa Sołtykowa. Fotografię wykonano w 1902 r. w Atelier Fotograficznym
Josela Rudego ze studiami w Ostrowi i Komorowie.

Źródło: suzdaonline.ru.

Korespondent wydawanej w liberalnym Krakowie gazety donosi z Komorowa, iż Moskale uczą niepokornych Polaków dobrych obyczajów i kultury. Rozsadnikami oświaty w powiecie ostrowskim są coraz to nowe herbaciarnie, w których przy chińskim napoju można poczytać prawomyślną prasę. Tak zaś ogólnie to w Komorowie źle się dzieje. Urzędem gminnym trzęsie zdrajca narodu, który przeszedł na prawosławie i podpisuje się nazwiskiem Kołaczyński, a nauczyciel też nie lepszy, „bo żonaty z jakąś moskiewską małpą”. Aby przybliżyć czytelnikom wynalazek zwany herbaciarnią, zamieściliśmy opis podobnego przybytku zlokalizowanego na warszawskiej Pradze.

Dr Adam Jarosiński wspomina najazd bolszewicki i 13-dniowe panowanie czerwonej zarazy w Sterdyni.

Pożary i utonięcia stale goszczą na tych łamach, tym razem z dymem poszły domy w Ostrowi i Lipnikach.

Wyrazy współczucia dla kasiarzy, którzy dokonali włamania do Banku Spółdzielczego w Węgrowie. Napracowały się niebożęta, gdy w tym samym czasie inni biesiadowali przy świątecznym stole, w rozprutej zaś kasie leżała raptem równowartość pensji początkującego nauczyciela. Byli to z pewnością ludzie honorowi, skoro tak nędznej kwoty nie tknęli.

Z pewnym skonsternowaniem, ale i zainteresowaniem przeczytaliśmy list od Pani Marii. Pani ta wyróżnia się spośród szerokich rzesz Polek zamiłowaniem do kolekcjonowania najgłupszych jej zdaniem pomysłów wymyślonych przez swych ziomków, do których zalicza także niniejszy zespół redakcyjny. Od pewnego czasu jest za pan brat z naszym kącikiem, poświęconym odpowiedziom czytelnikom na poruszane przez nich kwestie. Przejdźmy do sedna sprawy. Otóż Pani ta pyta, jakim sposobem wpadliśmy na pomysł prowadzenia wzmiankowanego kącika, bo pomysł ten zalicza właśnie do najgłupszych.

Zdecydowaliśmy się na odpowiedź, choć ta dotyczy kwestii wewnątrzredakcyjnych, prywatnych, a wręcz intymnych. Otóż z trudem przychodzi nam przyznać, że postanowiliśmy pisać, ponieważ nie umiemy opowiadać.

Przyznajemy, że przez lata gawędziliśmy z przekonaniem, że słuchaczom, to się podoba. Aż pewnego dnia, Maciek, ośmioletni syn właścicielki wynajmowanego przez nas biura stwierdził bez ogródek – Co za nuda! No cóż, obracamy się na ogół pośród ludzi kulturalnych, którym nie wypada wyrażać tak kategorycznych opinii i dopiero ten młody człowiek wykazał nam jasno, gdzie sęk jest pogrzebany.

Przyszło pogodzić się z faktem, że nie jesteśmy krasomówcami, co nie jest specjalną przywarą, bo jest to przypadłość w przyrodzie powszechna. Zauważmy zresztą, że pragnienie opowiadania cechuje najbardziej ludzi, którzy niczego szczególnego w życiu nie przeżyli. Uczestniczący w wielu misjach żołnierz sił specjalnych będzie po grobową deskę twierdził, że nie był świadkiem niczego istotnego, podczas gdy osoba pracująca całe życie w jakimś biurze, będzie zamęczała słuchaczy opowieściami o wprowadzaniu w życie tego lub innego, a z perspektywy lat, kompletnie nieistotnego rozporządzenia. Zresztą, gdy ów żołnierz nawet spróbuje coś opowiedzieć, a jest pozbawiony gawędziarskiego talentu, to i za jego sprawą słuchacze dostaną ataku narkolepsji, wybudzając się z głową zakrwawioną skutkiem uderzenia o kant biurka, czy ze złamaniem kończyny spowodowanym nagłym i nieumiejętnym padem na podłogę. Nudziarze mogą być zatem niebezpieczni.

Zdaniem redakcji nie od rzeczy byłoby odgórne nakazanie oznaczania takich osobników, dajmy na to czerwonymi czapeczkami z przyczepionymi dzwoneczkami, z daleka informującymi o nadejściu nudziarza. Są ponoć tacy, którzy uważają, że niektóre z katastrof lotniczych były powodowane przez takich typków. Jakiś pasażer, powołując się szkolną znajomość, wywiera na pilota presję, aby ten pozwolił wejść dawno niewidzianemu koleżce do kokpitu, po czym zaczyna opowiadać o swych trzech rozwodach. No i stało się – katastrofa! Gdyby ów koleżka nosił czapeczkę z dzwoneczkami, to setki istnień ludzkich zostałyby ocalonych.

Wracajmy jednak do spraw redakcyjnych. Ani Naczelny, ani redaktorka Beata, ani redaktor Zenek nie służyli w siłach specjalnych, a wręcz przeciwnie. Najbardziej ekscytującym dniem w życiu Zenka, był ten, w którym przyszedł do biura bez krawata – przeżycie to wciąż jest kanwą jego sennych koszmarów. Beata zaś stwierdziła, że najbardziej stresujące jest dla niej wspomnienie tej czarnej godziny, gdy okazało się, że pewne pismo musiała podpisać tuszem w kolorze niebieskim, a tymczasem ona dysponowała wyłącznie długopisami z tuszem w kolorze czarnym. Biegała jak oszalała po całym biurowcu – okazało się, że długopis z tuszem niebieskim był chwilowo nie do zdobycia. Zastanawiała się nawet, czy na podstawie swych przeżyć nie napisać scenariusza horroru... naturalnie z dopiskiem: „Oparte na faktach”.

Czy tego rodzaju osoby są w stanie opowiedzieć coś interesującego? Naturalnie, że są, ale pod warunkiem, że dysponują odpowiednim talentem. Są tacy, którzy przez pół dnia potrafią snuć opowieść o wejściu w posiadanie drogą kupna szafy, a ludzie słuchają z otwartymi ustami i wciąż im mało. Jednak Beata i Zenek do osób tych nie należą i nawet gdyby opowiadali o porwaniu swych person przez rozwścieczoną watahę kosmicznych zombie, to słuchacze modliliby się, o rychły kres tej beznadziejnej opowieści.

O Nadredaktorze pisać nie warto, bo było kilka instytucji kompletnie nieodpowiedzialnych i nierozsądnych, które zdecydowały się, żeby Naczelnego poprosić o jakąś półgodzinną gawędę na temat dowolny. Już po kilku minutach większość publiczności drzemała, pozostała zaś część dochodziła do wniosku, że w sumie to czasu nie zmarnowała, bo miała okazję poznać głądziarzy na głądziarzami, po prostu króla gderaczy.

Zespół redakcyjny składa się ogólnie z ludzi tak szarych, że trudno o osobniki skuteczniej rozpluwające się w tłumie. Gdybyśmy nie nosili ubrań w jaskrawych kolorach, to dawno skończylibyśmy życie na najbliższym przejściu dla pieszych. Czasami się dziwimy, że tysiące ankieterów uganiają się za ludźmi po chodnikach, nachodzą ich w domach, molestują telefonami, by zapytać, o czym marzą, czego pragną, a czego wręcz przeciwnie. Potem zaś wyciągają z tych tysięcy ankiet średnią, by dowiedzieć się o ambicjach i pasjach przeciętnego

człowieka. I po co to wszystko, po co to bezsensowne zużywanie energii? Oj wy bezrozumni szefowie przeróżnych agencji – wystarczyłoby zapytać naszą redakcję!

Oczywiście, nie należy się buntować i trzeba z pokorą przyjąć wyżej wyłożone fakty, bo przecież głądziarzy spotyka się nawet na najwyższych stanowiskach. Persona taka wchodzi na mównicę i głosi: „Słuchajta i patrzta ludziska, bo ja tu zaraz coś podpiszę, coś tak bardzo ważnego, że jak wam powiem, jak bardzo ważnego to padnieta na kolana”. Po czym przez pół godzinny smęci o długopisie, którym aktu tego dokona i wyklada historię przyrządów piśmiennych, poczynszyszy od patyczków do rycia w glinianych tabliczkach. Następnie wprowadza nas w tajniki struktury chemicznej tuszu. Typ taki ma jednak rzesze asystentów i doradców, których jednym zadaniem jest eliminacja wszelkich malkontentów, aby ich pryncypał widział wyłącznie zasluchane twarze.

Cóż, redakcja, a nawet jej Naczelnny nie dysponują asystentami i doradcami, którzy zapewniliby stosowne, wyrobione audytorium, a gnojkom w rodzaju wspomnianego Maćka oświadczyli bez ogródek – Paszoł won!

Co mają zatem robić podobni nam nudziarze, aby dotrzeć z przekazem do choćby małej grupki ludzi? Otóż Pani Mario – wyjściem jest właśnie prowadzenie bloga. Pewnie, że i w sieci nikt z własnej woli nie będzie nas czytał, ale sieć jest ogromna i śmigają po niej miliardy ludzi. Amerykańscy naukowcy wykazali, że jeśli blog czy portal ktoś założy, to z czystego przypadku zajrzy tam codziennie przynajmniej setka ludzi. Krótkie przerwy w dostawie Internetów są nieuniknione, zawieszanie się komputerów jest na porządku dziennym, a zatem z tej setki ludzi, przynajmniej piątce przykrość ta się przydarzy. Przez pewien czas widzą na ekranie przypadkowo wywołany blog, więc z braku innego zajęcia, tekst tam zamieszczony przeczytają. Dlatego Pani Mario wybraliśmy właśnie taką formę przekazu.

[„Polak : pismo dla wszystkich”, nr 4 z kwietnia 1902 r.]

LISTY DO „POLAKA” Z powiatu ostrowskiego (pod Moskałem)

I w naszym powiecie mamy koszary, mianowicie w Komorowie; żołdactwa tu moc, a przy nich ma się rozumieć cerkiew – zaś przy cerkwi pop prawosławny.

Zaroilo się teraz między Moskałami okrutnie, chcą prosty naród oświecić, nauczyć obyczajności. A jakże, w Ostrowi herbaciarnia, w Zarębach Kościelnych herbaciarnia, przy każdej niemal kancelarii książki moskiewskie (trochę też polskich), w każdej gminie żandarmka „Oświata”. W Komorowie założyli Moskale latem zeszłego roku ochronkę dla dzieci. Idźcie – powiadają rodzicom – do roboty, maleństwu bez opieki może się przytrafić, co złego, więc rząd zakłada wam ochronę. Poświęcenia ochrony dokonał pop wojskowy, był urząd z powiatu, zwołano osobne posiedzenie gminne. Pop prawil o dobroci cara, o troskliwości rządu, starym dawał prawosławny krzyż do pocałowania, dzieciakom cukierki i inne łakocie. Ochronka stoi otworem przez lato i gospodaruje w niej jakaś stara Moskiewica. Mamy więc nowe siedlisko zarazy prawosławnej.

W ogóle w gminie naszej mało dobrego słyhać. Kancelarią trzęsie pisarz Kołaczyński, zdrajca narodu, bo przeszedł na wiarę prawosławną. W szkole naucza drugi zdrajca, bo żonaty z jakąś moskiewską małpą. Wójt nasz to stary sługus rządowy. Jednym słowem bieda.

Chcieliśmy przynajmniej wójta wyrzucić. Więc gdy nadeszły w roku ubiegłym wybory, naród postanowił go utracić. Ale stary wyga kupił sobie za wódkę kilkunastu krzykaczy, których będący w zмовie z wójtem naczelnik Jurjew ustawił na progu kancelarii, ci zaczęli wrzeszczeć – „stary, stary, niech nam wójtuje” i zagłuszyli resztę narodu, co stał w kancelarii. Wprawdzie naród nie bardzo wołał przeciwko staremu, bo dwaj żandarmi bacznie śledzili, kto woła nie po myśli naczelnika i zaraz sobie takiego notowali do książki. Jurjew ogłosił wybór swego poplecznika za dokonany, zaś niezadowolonym z wyboru radził w ciągu dwóch tygodni złożyć skargę. Ale cóż, skarga wcale nie skutkowała i tyle naszego, że strażnicy nękają teraz naród karami, to za psa, to za nieporządek przy domu itp. głupstwa, których Moskal ma pełno na zawołanie, gdy chce tylko człowiekowi dokuczyć.

Kiepski ten nasz samorząd gminny bracia kochani, ale trzeba nam się brać do kupy i zgodnie na Moskala nacierać, to będzie nam lepiej. Póki ludzie o swe prawa nie dbają, pieski powiatowe się panoszą i mają nas za nic. Ale tak dalej być nie może. Musimy wziąć się do czyszczenia kancelarii z moskiewskich służalców.



Koszary w Komorowie 1911 r. Pop odczytuje tekst żołnierskiej przysięgi.
Autor fotografii Stanisław Bogacki, właściciel warszawskiego
Atelier Fotograficznego przy Krakowskim Przedmieściu 7¹.

¹ *Wpamiat' stoletija 24go piechotnogo Simbirskogo polka 1811-1911*, Warszawa 1911.

[„Polak : pismo dla wszystkich”, nr 11 z listopada 1900 r.]

LISTY DO „POLAKA”

Rząd moskiewski coraz nowe wynajduje środki, ażeby pozyskać dla siebie robotników i włościan polskich. [...] Pod maską zabaw ludowych, czytelní, teatru itd. prowadzi się u nas od lat kilku najhaniebniejszą robotę wynarodowienia, niemającą równego sobie przykładu w dziejach, walkę z resztkami naszych swobód i praw obywatelskich.

[...]

Do szeregu tych środków przybywają coraz to nowe, a najnowszym są pozakładane świeżo herbaciarnie.

Jedna z nich znajduje się na Pradze. Herbaciarnia ta składa się z czterech pokoi. W jednym z nich podają naprawdę herbatę, w drugim znajduje się czytelnia, w której jest kilka gazet moskiewskich i niby polska, przez Moskali wydawana „Oświata”, trzeci przeznaczony jest na odczyty, a czwarty pokój służy za miejsce posiedzeń wspólnych i wypoczynku dla szpiegów, i łapaczy. Zziązani całodziennym uganianiem się, schodzą się tam oni wieczorami, aby w dalszym ciągu czyhać na ofiary, które tym razem mają im same wejść do pułapki.

Na szczęście jednak za mądry jest robotnik polski, ażeby szpiega przez ścianę nie wyczuł, za opatrny, ażeby takiego gniazda nie ominął z daleka. Pusto też jest w herbaciarni na Pradze.

Rząd wydaje pieniądze, wysiła się i ludzi, że mieć z nas, kiedy będzie wierne sługi i parobki swoje. I on się jednak przekona wkrótce, że to wszystko na próżno, bo my się nie damy i nie pójdziemy na lep żaden, dopóki w nas jest dusza polska.

[„Gazeta Podlaska”, nr 42 z 28 października 1923 r.]

LISTY ZE STERDYNI BOLSZEWICY

Odeszli Rosjanie, zabrali się i Niemcy – kraj nasz znalazł się w położeniu Robinsona Kruzoe, którego burza wyrzuciła na wyspę bezludną.

Pomimo ciężkich warunków, w dość szybkim tempie zaczęły powstawać urzędy, koleje, wojsko. Wzięto się do organizacji sądownictwa, szkół, organów bezpieczeństwa, podnoszono rolnictwo i przemysł, gojono rany przez wojnę zadane.

I już zdawało się, że wypływamy na spokojne wody, omijamy skały podwodne – wtem, jak grom z nieba, spada na nas najazd bolszewicki.

Od początku lata 1920 roku przez naszą okolicę zaczynają przesuwąć się w kierunku na zachód niewielkie oddziały wojsk, lazarety, czasami tabory. W naszych wioskach zjawiają się liczni

synowie, którzy przyszli z wojska na „urlop”. Przewijają się pojedyncze osoby ze sfery inteligentnej spod Krzemieńca i Równego, w których oczach i całym zachowaniu się, przebija lęk przed bolszewikami; opowiadają rzeczy straszne.

Zjawiają się karawany uciekinierów – ziemian spod Smoleńska, następnie z Mińszczyzny i Grodzieńszczyzny, z początku pojedyncze, później coraz liczniejsze. Ludzie ci, uchodząc i ratując życie, ponoszą niezwykle trudy.

Zjawiają się już nasi najbliżsi sąsiedzi – ziemianie zza Bugu. Przychodzi wreszcie kolej na naszą okolicę. Wszyscy się wynoszą, zabierając dobytek, po większej części opuszczeni przez służbę i z trwogą dążą na zachód, na tułaczkę, niemal pewni, że już stron swych nie ujrzą.

A bolszewicy już się zbliżają do Bugu. Na naszym odcinku stawia im opór mocno przetrzebiona, nieliczna XVII Poznańska Dywizja.

Opór trwa 5 dni – wojsko nasze ustępuje i odchodzi. W parę godzin są już bolszewicy i rozpoczynają to swoje 13-to dniowe u nas panowanie.

Nie będę opisywał tych ciężkich dni, które moralnie i materialnie nas wyczerpały, a które stanowią wdzięczny materiał do opisu*.

Dodam tylko nawiasem, że najazd bolszewicki miał jednak tę dobrą stronę, że naród się nieco skonsolidował i uczucia patriotyczne mocno w nim zadrgały.

Najście bolszewickie odparto, znaleźliśmy się znów u siebie.

Uroczysta chwila, jaka nastąpiła po powrocie wojsk naszych, wprędce zmaconą została wybrykami żołnierzy, którzy odwzajemniali się Żydom za ich wrogi stosunek do Polski, z czym dotychczas często się spotykali. Gorzej, gdy w tych wybrykach przyjmowali udział i niektórzy tutejsi mieszkańcy. Działo się tak, iż za żołnierzem, który wziął czasami w żydowskim sklepiu paczkę zapalek lub papierosów, postępowali 12-to letnie wyrostki, wyrzucały na ulicę towar, niejedna matka i ojciec, zaczajeni za węglami domów, zjawiali się z workami i rabowali, co się dało. Była chwila, że miano ochotę urządzić ogólny rabunek i zabierać nie tylko od Żydów. O tych sprawach wspominam z bólem.

* * *

Ta nasza okolica, obramowana wspaniałym Bugiem, z uprawnymi polami i zielenią łąk, bogata w ciemne bory i malowniczo rozrzucone wioski, gęsto zaludniona pracowitym i zbożnym ludem, znowu wzięła się do pracy i powoli wygaja się ze swych ran.

Nie brak tu u nas tarć i drobnych nieporozumień, jest jednak pewność, że zdrowy instynkt ludu tutejszego weźmie z czasem górę nad prywatą i małostkowością, że nadejdzie czas, gdy dobro Ojczyzny jako całość, na pierwszym miejscu stawianym będzie.

Dr A. Jarosiński

* Zachęcam pewną mieszkankę Sterdyni, która z tych czasów robiła notatki, by je opracowała i ogłosiła drukiem.

[„Życie i Praca”, nr 22 z 18 marca 1926 r.]

Dnia 6/II br. w m. Ostrowiu wskutek domniemanego podpalenia, względnie zaprószenia ognia spłonął nowy, niezgłoszony jeszcze do ubezpieczenia dom Mendla Piątnicy, przy czym sąsiednie budynki S-ców Jesionowskich zostały częściowo uszkodzone. Odszkodowanie pogorzelowe na rzecz S-ców Jesionowskich uregulowane zostało w dn. 1/III br. zł 20 gr 64.

Dnia 21/II br. we wsi Lipniki gm. Komorowo, pow. ostrowskiego wskutek zapalenia się sadzy w kominie uległ zniszczeniu dom Wojciecha Chojnowskiego. Odszkodowanie w sumie zł 290 gr 14 wypłacone w dn. 9/III br.

[„Nowa Gazeta Podlaska”, nr 20 z 14 maja 1933 r.]

Nieudany zamach na kasę Banku Spółdzielczego w Węgrowie

30 kwietnia br. pracownicy Banku Spółdzielczego w Węgrowie, po przyjściu do pracy po przerwie świątecznej stwierdzili, iż kasa ogniotrwała, żelazna została popruta, czyli że bankowi złożyli swoją wizytę „kasiarze”. Następnie ustalono, że sprawcy przedostali się ze strychu przez zrobiony otwór w suficie, przez który następnie dostali się do lokalu Banku. W kasie było zaledwie 150 złotych, których włamywacze, widocznie spłoszeni, nie zdążyli zabrać, pozostawiając na miejscu parasol, którym posługiwali się przy opuszczaniu gruzu z sufitu. Na kasie sprawcy pozostawili odciski palców, które policja wyzyskała dla wszczętego śledztwa. Poza więc dużym nakładem pracy ze strony „kasiarzy”, no i popsuciu kasy sprawcy włamania nic nie zyskali, co jeszcze raz ich nauczyło, że zawód „kasiarza” przestał być dobrym i że ten zawód również przeżywa dziś kryzys i bezrobocie.

S. K.